

Lato 1963 roku przy wszystkich swoich naturalnych wdziękach, urodzie pór dnia, którą zachwycaly i bez niego te ładne strony, niewarte byłoby nieustającej o nim pamięci, gdyby nie kąpiele w zielonym stawie, wielkością porównywalnym z niejednym jeziorem, i wszystkie związane z tym rytuały.

Dochodziła czwarta, gdy odpowiednio opalony, wygimnastykowany, zręczny, zblatowany ze swym ciałem, oddałem mu władzę nad sobą. Nie mogłem się doczeka, kiedy wystawię je na osąd innych, na spojrzenia dziewczyn i młodych kobiet, których po zachodniej stronie stawu tego lata nie brakowało.

Nie miałem też nic przeciw temu, by wzrok skrofulicznych chudzielców, grubasów ze wzdętymi brzuchami, pięćdziesięciolatków skrywających w granatowych balonówkach swoje przepukliny, osobników mających kłopot ze skórą, która mimo słońca trwała uporczywie w bladości, młodzieńców niepotrafiących wyrosnąć z dziecięcych krzywic, mężczyzn z opadającymi ramionami, na których nie trzymała się żadna marynarka, lub chłopów jak się patrzy, zeszpeconych robotą nawet ponad ich siły, okablowanych sinymi żyłami, by wzrok ich wszystkich wyrażał tak bardzo schlebającą mi zazdrość.

Na zachodnim brzegu paszportem nietracącym ważności było zręczne, smagłe, nieskażone niedołęstwem, młode ciało. Nie mówię, że to było jedyne kryterium przynależności do lepszej strony życia, lecz wśród kilku innych przesądzające o pozycji. W każdym razie do miejsca, w którym wody stawu wrzynały się w niewysoki, piaszczysty brzeg, tworząc zatoczkę ocienioną brzożami-siostrami, nie wszyscy mieli jednakowe prawo.

Ludzie przypadkowi ustępowali miejsca małżeństwu z dziećmi, te zabierały swoje rzeczy, gdy pojawiała się zawsze krzykliwa i rozdokazywana kawalerka, a ona czmychała przed gośćmi z klanu Hemingwaya.

Zapatrzeni w siebie, wsłuchani we własną fizyczność, lubiący swoje odbicia w lustrze lub sklepowych wystawach, korzystający z każdej

chwili, by rzucić na siebie okiem, nie gustowali w bójkach, jak na przykład mężczyźni z placu i bazy, za to wzbudzali respekt swoją atletycznością i poglądem narzuconym innym, że jakby co, to sprawy są przesądzone na ich rzecz.

Nie mieli poczucia humoru na swój temat i prawo do wybranych przez siebie miejsc, ulic, ławek, stolików w kawiarniach, prawo do sposobu przechadzania się po parku zdrojowym w C. i wyławiania z niego co atrakcyjniejszych kuracjuszek, krótko mówiąc, prawo do blasku w coraz bardziej szarzejacej rzeczywistości traktowali serio.

Kiedy oparłem rower o jedną z brzoź nad zatoczką, rozgościli się tam już Hugon Trener i Tosiek Buchalter, a to znaczyło, że nikt inny nie mógł w zatoczce przebywać. Przywitaliśmy się niewylewnie, zapalili z Tośkiem po sporcie i zaraz Hugon wymógł na nas konkurs trójskoku z miejsca. Jak zawsze wygrał.

Był niewysokim, krępy osiłkiem o niespotykane mocnych nogach, wyciskał stuosiemdziesięciokilogramową sztangę z przysiadu pięć razy z rzędu. Gdyby żył w górach poważniejszych niż zachodnie Sudety, byłby jak Schramm, Toni Sailer, Jean-Claude Killy. Na nartach jeździł brawurowo i elegancko, często szusem, tam gdzie inni asekurowali się slalomami. Rzemieniem spinał but z nartą zjazdową nawet bez centymetrowej tolerancji.

Trenerem był niecierpliwym. Irytowała go nieporadność, szydził z safandulów, nie akceptował tchórzostwa, a moim zdaniem nawet zdrowego rozsądku, jeżeli dotyczyło to nart.

W rewanżu zaproponowałem mu wyścig do dwóch skalnych wysepek na środku stawu. Odmówił, bo w tej konkurencji nie wygrywał ze mną nikt, kogo znałem. To była jedna z przyczyn, dla których odwiedzałem to miejsce nawet wtedy, gdy kąpiel nie była przyjemnością.

Wskoczyłem do wody z brzegu, wybijając się odpowiednio, by nie wyrznąć głową w dno – powolne oswajanie się z wodą nie było w cenie – i przepłynąłem motylkiem sto dwadzieścia metrów do skałek, a

wróciłem leniwym, nonszalanckim kraulem.

Rad z uznania dla mych umiejętności – pochlebstw nie miałem nigdy dość – wyciągnąłem się na trawie. Wraz z sennością na łagodniejącym słońcu wrócił spokój, miara rzeczy, niczym niezakłócona przyjemność pierwszej młodości.

